

MROCZNA HISTORIA O NIEZABLIŻNIONYCH RANACH
I KRZYWDZIE TŁOCZĄCEJ TRUCIZNĘ W ŻYŁY.

O TYM, ŻE ZŁO JEST W KAŻDYM Z NAS.

**KAMIL
PIECHURA**

**ZŁO
W
NAS**

FILIA

**KAMIL
PIECHURA**

**ZŁO
W
NAS**

FILIA

Dla moich przyjaciół – aby słowa zapisane na kartach tej powieści nigdy nie wydarły się poza granice mojej – często niepokojącej – wyobraźni...

To właśnie skutkiem, kłatwą złego czynu,
że ze zła biorąc – w zło się rozkorzenia.

FRIEDRICH VON SCHILLER

Teraz

Życie każdego człowieka toczy się we wnętrzu jego własnego umysłu. Nie ma tam niczego innego – poza wszystkim. Nie ma nikogo innego. Nie ma tam „nas”. Nie ma „ich”.

Tylko ja.

Kiedy umiera dusza, świat kurczy się, drży w posadach, dogorywa w konwulsjach, a w końcu się rozpada – wraz z ostatnim tchem tłoczonym przez płuca ginie... wszystko.

Także cierpienie.

Czuję ból rozchodzący się po ciele jak trucizna – żrący kwas wstrzyknięty do krwiobiegu, pochłaniający wszystko, co napotka na swojej drodze. Jestem świadom jego obecności bardziej niż własnych myśli, pozlepianych w bezosobowy kłęb szarej papy, tłumionych pod grubym kocem cierpienia pulsującego gdzieś od środka ciała.

Boli. Tak bardzo boli...

Zdaje mi się, że słyszę skrzypienie powiek, niby nie-naoliwionych zawiasów, gdy otwieram oczy. Jasne światło wpadające z okna po lewej stronie pokoju oślepia mnie, kąsa źrenice.

Zamykam oczy. Kręci mi się w głowie. Chcę wymiotować, ale zamiast tego tracę przytomność.

Chyba wrzeszczę, zanim umysł pochłania ciemność.

Spadam w czarną przepaść.

I

ZAPROSZENIE

Wtedy

Od mniej więcej pół roku każdy dzień rozpoczynam poranną przebieżką. Nigdy nie przykładalem większej wagi do formy, jednak lata leca, a umówmy się – zwisający bęben nie jest powodem do dumy, szczególnie gdy facet jest tuż po trzydziestce. Nie żebym takowy posiadał albo kiedykolwiek miał tego typu predyspozycje, jednak lepiej się pilnować – wyrobić pewne nawyki wcześniej, by nie skończyć z ręką w nocniku, przykutym do wypierdzianego fotela naprzeciwko cienkiej plazmy, z wieczornym wydaniem wiadomości na tapecie.

O ósmej budzi mnie Jędza – to może trochę dziwne, ale tak nazywam biały stożek na stoliku nocnym. Zdaje się, że Smart Home jest odpowiednią nazwą dla tego ustrojstwa, które Maja podarowała mi na trzydzieste urodziny. Wytrzasnęła je z AliExpress – chińskie hieroglify na pudełku zapewne zachwalały możliwości oraz unikatowy wygląd tego cudu techniki (moim skromnym zdaniem do złudzenia przypominało odświeżacz powietrza), choć na niewiele zdały się przy próbie zmiany języka. Jędza bowiem informowała użytkownika o swoich działaniach w dialekcie, w którym napisano dołączoną doń instrukcję – takie przynajmniej odnoszę wrażenie, bo za cholere nie zrozumiałem nic z jej

mechanicznego bełkotu. Po kilku godzinach przekopywania się przez zagraniczne fora i wciskania najróżniejszych przycisków na panelu kontrolnym doszliśmy do połowicznego rozwiązania problemu – Jędza już nie paplała trzy po trzy, lecz buczała za każdym razem, gdy poczuła potrzebę poinformowania właściciela o wykonaniu jakiejś akcji. Od tej pory przynajmniej nie doprowadza do szału swoim paplaniem Chico. Wcześniej czekał jak opętany.

Pudel gramoli mi się na głowę, kiedy Jędza buczy opętańczo, a na jej panelu kontrolnym miga pomarańczowa dioda, informując, że woda w bojlerze powinna nadawać się do porannej kąpieli już wkrótce. Chico radośnie wali mnie ogonem po czole.

– Jak się spało, stary? – rzucam, drapiąc go za uszami. Mruczy cicho, przymykając czekoladowe powieki.

Nie trwa długo, zanim jak szalony zeskakuje z łóżka, pędzi korytarzem, a po kilku sekundach zjawia się z piłką tenisową w paszczy. Bawię się z nim, dopóki Jędza nie zabuczy po raz kolejny, co sygnalizuje, że woda w bojlerze gotowa – proszę bardzo, piękny panie, ręcznik w dłoń i do kabiny.

Schodzę do kuchni nagi – dzielę z Chico łóżko już od pewnego czasu, nie mamy przed sobą tajemnic – i nastawiam ekspres na najmocniejsze espresso. Wystyga do idealnej temperatury, gdy wychodzę z porannej kąpieli owinięty ciasno ręcznikiem.

Przez długi czas – to jest kiedy jeszcze pracowałem dla kogoś lub pod kimś, zwał jak zwał – nie mogłem sobie wyobrazić bycia kierownikiem samego siebie. Wydawało mi się, że potrzebuję z góry narzuconej godziny, o której mam

zjawiać się w pracy, wychodzić na lunch oraz opuszczać biuro. Ale wiele się zmieniło.

Zajmuję się fotografią. Jestem freelancerem – przyjmuję większe bądź mniejsze zlecenia od ludzi, którzy zgłaszają się do mnie z uwagi na reputację, którą po kilku latach zdążyłem sobie wyrobić. Biorę w zasadzie wszystko – od kręcenia i montażu filmów weselnych, po obróbkę zdjęć krajobrazów i portretów osób, które nie są zachwycone swoim podwójnym podbródkiem na fotografii do paszportu. Zarabiam całkiem nieźle – być może nie aż tyle, co moi znajomi porozrzucani po korporacjach, których nazw często nawet nie jestem w stanie prawidłowo odczytać, jednak jakoś sobie radzę. Lubię niezależność, a na wyścig szczurów, zdaje się, jestem już zbyt zaśnieżony. Być może brzmię jak stary pierdziel, ale za nic nie oddałbym tej... swobody. Kiedy boli mnie głowa i mam ochotę przedłużyć poranne leżakowanie, po prostu to robię, nie obawiając się, że lada moment zadzwoni szef z pretensjami o spóźnienie. Rutynowe wstawanie o wpół do ósmej, żeby zdążyć na czas na poranne spotkanie, prasowanie koszuli tak, aby nie pozostać nawet najmniejszej zmarszczki na materiale, psioczenie na kolegów za ich plecami tylko po to, żeby przypodobać się kierownikowi – dziękuję, postoję.

Sączę poranne espresso, przyglądając się dyskusji w studiu politycznym. Ładna blondynka wpatruje się ze sztucznym uśmiechem przyklejonym na ustach grubemu facetowi, usilnie wyjaśniającemu jej i telewidzom, dlaczego sytuacja w obozie opozycji jest doprawdy katastrofalna. Blondynka przytakuje skwapliwie, zapisując coś w swoich notatkach. Przy krańcu stołu siedzi patykowaty mężczyzna z dłoń-

mi złożonymi w dyplomatyczną piramidkę, wysłuchując z uwagą tego wciąż paplającego, grubego faceta. Co jakiś czas otwiera usta, chcąc mu przerwać, jednak gruby facet, zauważając to, marszczy czoło i podnosi głos, a blondynka kiwa głową z jeszcze większą energią. Nietrudno się domyślić, że ten siedzący przy krańcu stołu jest z opozycji. A odbiornik nadaje kanał publicznej telewizji.

– Cyrk na kółkach, piesku – wzdycham, a Chico szczeka radośnie i z entuzjazmem merda ogonem, jakby w ten sposób chciał przytaknąć. – Istny cyrk na kółkach.

Wyłączam telewizor w momencie, gdy patykwatemu mężczyźnie wreszcie udaje się wybulgotać coś na wzór „to był plan, który chcieliśmy wdrożyć przed rządami waszej partii...”, i zakładam dres. Sam nie wiem, czemu oglądam te wypociny. Chyba jest w nich pewien poziom smutnego absurdu bawiący skuteczniej niż śmieszne kompilacje wypadków kotów na YouTube.

– Do nogi!

Nie zamykam drzwi na klucz – dom stoi na uboczu nieopodal małego lasu, a najbliższy sąsiad mieszkający przy głównej drodze to miły staruszek Ben, który ilekroć mnie widzi, zaprasza na herbatę z prądem i ciasteczka z czekoladą własnej roboty. W cieplejsze dni ogląda mecze piłki nożnej przed kineskopowym, przenośnym telewizorkiem, bujając się w fotelu na werandzie, klnąc pod nosem i zawzięcie strzygąc posiwiałymi wąsami, ilekroć reprezentanci tego pięknego kraju odwalą baboła albo pošlą piłkę Panu Bogu w okno. Ben za młodu sam grywał w futbol – uwielbia podkreślać ten fakt, szczególnie po kilku kolejkach swojej niewinnej herbatki, twierdząc, że

gdyby w zamierzchłych czasach jego ojciec sprezentował mu lepsze buty, polska reprezentacja zdobyłaby mistrzostwo, a on nie siedziałby w tej dziurze, mając za towarzysza przewlekły artretyzm.

Dzień jest piękny, choć chłodny – październikowe powietrze pali policzki, kiedy przyspieszam i wbiegam na udeptaną ścieżkę w akompaniamencie wesołego poszczekiwania Chico. Ochoczo podskakuje, próbując złapać zębami spadające liście pożółkłego klonu – gdy ta sztuka mu wychodzi, zatrzymuje się i intensywnie obwąchuje znalezisko, po czym znów przyspiesza, aby zrównać się ze mną.

– Tempo, Chico!

Dzieli nas jakieś piętnaście minut od asfaltowej dróżki ciągnącej się na półtora kilometra wzdłuż potoku. Zazwyczaj pokonujemy ją dwa razy – pierwszy zachowawczym, spokojnym tempem, drugie podejście jest stanowcze, dajemy z siebie wszystko. W porannych godzinach często mijają się tu weteranów porannego joggingu, później dołączają do nich dzieci śmigające zawzięcie na małych hulajnogach, pary jeżdżące na kolarzówkach oraz rodziny ze smykami, pragnące zaznać odrobinę ruchu i świeżego powietrza.

Mieszkańcy nazywają tę drogę ścieżką zdrowia. Biegnie wzdłuż niedawno wybudowanej obwodnicy Limanowej, mojego rodzinnego miasteczka – znanego w Małopolsce, położonego około dwudziestu minut jazdy od Nowego Sącza, a półtorej godziny od Krakowa. Wróciłem tutaj na stałe po rozwodzie. Nigdy nie planowałem, ale życie potoczyło się inaczej.

Moje poszarzałe, stare adidas są mokre od rosy, kiedy wreszcie wbiegamy z Chico na asfalt. Tym razem już

w pierwszym okrężeniu narzucam większe tempo. Robię to z przyzwyczajenia, raz w tygodniu, przed spotkaniem z Mają.

Po rozwodzie została z matką w stolicy Małopolski. Nie, nie winię jej za ten wybór, i nie, nie doszukuję się tutaj głębszego dna – wiem, że moja córka mnie kocha, i rozumiem, że dla nastolatki w jej wieku perspektywa spędzenia jednego z najważniejszych okresów w życiu w dziurze o kryptonimie „Limanowa” nie jest... cóż – zbyt pociągająca. Zresztą, cholera. Mam trzydzieści cztery lata i nie potrafiłbym sam postawić się w jej sytuacji – bo oto dwójka najbliższych osób, po blisko szesnastu latach wspólnej egzystencji, postanawia pójść swoimi drogami. Kontynuować życie bez człowieka, u boku którego budziła się codziennie rano, z którym wspólnie gotowała, wyjeżdżała na wakacje, śmiała się i płakała, krótko – przeżywała największe wzloty i upadki. Nie chcę wychodzić tu na dramaturga. Rozwód to sprawa zawiła, bolesna, jednak po bezpośrednim doświadczeniu tego zabiegu nie mogę powiedzieć więcej niż... stało się. I tyle.

Ale to Maja ucierpiała najbardziej, nawet jeśli za wszelką cenę starała się to ukryć. Przeprowadzka, niezręczne wynoszenie rupieci, których prawowity właściciel nie jest do końca znany, świadomość, że już nigdy nie spędzi się razem słonecznego dnia na tyłach domu, w małym ogródku, smarując drugą osobę kremem z filtrem i grając w scrabble przy gramofonie z płytą z najlepszymi przebojami Queen. Jasne – kłamałbym, mówiąc, że to wszystko nie wywarło na mnie dużego wpływu. Wtedy i teraz. Bo mogę sobie wmawiać, że dbam o formę z powodów zdrowotnych, jednak prawda jest inna, równie trywialna. Wylewając dawkę potu na porannej przebieżce z Chico, pozbywam się frustracji

i zawodu, które noszę od rozstania z żoną. Oczyszczam umysł. Nie jestem pewien, jak to opisać – nigdy nie byłem zwolennikiem bajdurzenia o odnawianiu swojej duszy czy kij wie czego innego po ciężkich doznaniach. Ale... ale wiem, że wstawanie rano i wysiłek fizyczny w pewien sposób pomagają umysłowi w powrocie do normalności. W ustatkowaniu. W wyjściu z dołka.

Decyzja o rozdzieleniu dróg z Agatą była zgodna. Bez zbędnych krzyków, płaczu, idiotycznych scen rodem z paradokumentów puszcanych w południe, które człowiek ogląda z rozleniwieniem, bo nic innego nie leci aktualnie w telewizji – zrobiliśmy to jak cywilizowani ludzie.

A jednak wiem swoje. Bo znam moją córkę. Być może była jedynie biernym obserwatorem przeciągania liny między rodzicami. Z perspektywy ojca dostrzegłem jej przemianę. To wydarzenie zahartowało Maję. Zawsze starałem się pokazać jej, że życie nie jest upstrzone fiołkami – nie przypomina zielonkawej łąki z pachnącymi stokrotkami i przyjaznymi niedźwiadkami tulącymi się do siebie. Czasami, a nawet stosunkowo często, po prostu daje w kość. Szkoda tylko, że Maja po raz pierwszy doświadczyła tego za sprawą rodziców, którzy pewnego smutnego dnia postanowili pomachać do siebie na pożegnanie.

Podpieram się zdyszany, obserwując, jak Chico podbiega z wywieszonym jęzorem. Domaga się pochwały za przebycie tego morderczego dystansu. Drapię go za uszami przez kilka minut, do momentu, aż z przeciwnej strony ścieżki wyłania się mały york trzymany na smyczy przez dziewczynę ze słuchawkami na uszach większymi od jej głowy. Pies natychmiast zauważa obecność Chico i zaczyna panicznie warczeć.

ISTNIEJĄ RANY NIEZDOLNE DO ZABLIŻNIENIA.

Robert Ruso jest fotografem dobiegającym czterdziestki, który po rozwodzie przeniósł się z Krakowa do rodzinnej Limanowej.

Pewnego dnia otrzymuje enigmatyczny mail – zaproszenie do domku nad jeziorem od kolegi z licealnych lat.

Nie zdaje sobie sprawy, że przyjmując zaproszenie, puszcza w ruch bieg wydarzeń, które przerodzą życie jego i najbliższych w koszmar...

Jeden mail.

Jeden weekend.

Czwórka mężczyzn pozostawionych na odludziu. A wśród nich jedna dusza – przed laty złamana, opętana przez zło domagające się wyzwolenia.

„Zło w nas” to opowieść o przeszłości, która nie wybacza, lecz powoli, dzień za dniem, rozbudza cierpienie zagnieżdżone lata temu.

**CZŁOWIEK TO GATUNEK NAJOKRUTNIEJSZY
ZE WSZYSTKICH ZWIERZĄT.**

cena 49,90 zł

mrocznastrona.pl
wydawnictwofilii.pl



FILIIA MRO CZNA
STRONA

